Drzwi zgrzytnęły przeraźliwie, kiedy kazano Justynie przez

nie przejść. Zrobiła to niemal z ulgą. Odgrodziła się od

harmideru, płaczu, nawoływań, głośnych poleceń, pełnych paniki

pytań: „A gdzież to Antoni?”, „Niech Bóg prowadzi…”,

„Jak ty sobie, biedaku, będziesz tam żył?”; czy też dobrych rad:

„Pamiętaj o czapce, bez niej najłatwiej się zaziębić.”, „Uważaj,

żeby cię nie okradli, bo podobno kradną…”. A wszystkich przebiła

jakaś wariatka, która darła się jak opętana „Julek! Julek!”

i przepychała się przez tłum rozczochrana i bez kapelusza! Jak

to wszystko nie pasowało do eleganckich wnętrz Dworca Petersburskiego

w Warszawie! Jak bardzo do tego dworca nie pasowali

rosyjscy żandarmi, którzy szpalerem obstawili żegnających

i żegnanych, a tu, na peronie, wszystkich nachalnie obmacywali

wzrokiem. Stała jak inni, spokojnie czekając, kiedy pozwolą

im wsiąść do wagonów właśnie wjeżdżającego na tory pociągu.

Złapała

brata za rękaw, jakby w obawie, że się zgubią na samym

progu wielkiej wędrówki.

Nagle ten męczący harmider dworcowej poczekalni, ten, od

którego właśnie oddzieliły ją zgrzytliwe drzwi, zabrzmiał innymi

tonami. Tam, za tymi drzwiami, było wszystko to, czemu Justyna

poświęciła swoje siły, dla czego zaryzykowała wolność, a nawet

życie. Tam były wszystkie jej myśli, pragnienia. Tam ciągle

jeszcze trwało powstanie. A tu? Wiatr targał jej salopką, przenikliwy

chłód wciskał się pod obszerny, znoszony płaszcz. Martwota

ciszy przerażała. Przechodząc przez drzwi prowadzące

na peron, weszła w świat, w którym nic już od niej nie zależało,

w którym była więźniem, banitą gnanym rozkazem w ogromne,

śnieżne przestrzenie, by tam zaginąć, rozwiać się, zniknąć w tumanie

mroźnej mgły i niepamięci. Trudno jej było wyobrazić sobie

jakieś życie w tej dalekiej, groźnej Syberii.

Ocknęła się z tych przygnębiających myśli i rozejrzała wokół.

Na swoje nieszczęście zobaczyła dwoje ludzi. On, wysoki,

postawny, z ciemnymi włosami z lekka przetykanymi siwizną,

obejmował szarą, niewielką kobietkę tulącą do siebie jakiś

tłumoczek. Obejmował ją gestem, który rozkroił Justynie serce,

jeszcze bardziej rozdygotał i rozkleił. Tyle w tym było troski,

tyle chęci, by odgrodzić tę drogocenną kobiecinkę od

strasznej rzeczywistości, tyle było miłości. Justyna nigdy takiego

gestu nie zaznała, choć miała już dwadzieścia pięć lat. Idiotyczny

kapelusik („skromny i dziewczęcy”) przewiązany czarną

wstążką oznajmiał wszem i wobec jej staropanieństwo.

Nie, żeby nigdy nie widziała błysku zainteresowania w męskich

oczach. O, widziała go bardzo często! Ale ten błysk gasł

natychmiast lub zamieniał się w lubieżny uśmieszek pod lodowatym

tchnieniem słów, które wcześniej czy później paść

musiały z czyichś życzliwych ust: „To tylko guwernantka”.

Mężczyzna nachylił się nad swoją kobietką i powiedział

coś do niej, a ona podniosła na niego oczy i uśmiechnęła się.

Uśmiechnięta była prawie ładna. Jej mąż miał szlachetne rysy,

oczy będące samą dobrocią, wysoką, szczupłą sylwetkę i opiekuńcze,

szerokie ramiona. Tłumoczek okazał się być niemowlęciem.

Szaleni ludzie – pomyślała – na Syberię z dzieckiem. Wariaci!.

Próżno jednak było szukać oznak szaleństwa na ich twarzach.

Justyna dostrzegła raczej determinację. W pewnej chwili zorientowała

się, że zbyt natarczywie przygląda się obcej parze. Gwałtownie

odwróciła wzrok i zobaczyła, że ze znaną jej doskonale

maślaną miną, wpatruje się w nią jeden z żandarmów. Kiedy ich

oczy się spotkały, spod konopnej czupryny rozszedł się szeroki

uśmiech odsłaniający poważne braki w uzębieniu.

– Szlag by to trafił – syknęła wściekła.

– Coś mówiłaś? – spytał jej brat z mało przytomną miną.

– Że przejdę się trochę. Czuję, że muszę się trochę poruszać.

Czeka nas taka długa podróż.

Ukryć łzy! Koniecznie ukryć łzy! Ruszyła w stronę toalety podejrzanie

szybkim krokiem. Ale tam też był tłok. Pochyliła się

nad umywalnią i zmoczyła twarz. To przyniosło ulgę, ale wewnętrzne

rozdygotanie nie ustało.

„Kurwa twoja mać” – powiedziała sobie bardzo głęboko

w duchu i pod wpływem tych absolutnie zakazanych słów

poczuła tak wielką ulgę i rozluźnienie, że musiała oprzeć się

o ścianę.

– Czy pani dobrze się czuje? – zapytała obserwowana przed

chwilą kobiecinka, która widocznie przyszła tu tuż za nią. – Musimy

być dzielne.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała zbyt ostrym tonem

Justyna i dodała łagodniej – dziękuję.

– Cecylia Ojrzanowska – kobieta wyciągnęła do niej rękę. –

Poznajmy się, nie będziemy już same i zagubione w tym wielkim

świecie.

– Będzie raźniej – dodała, widząc jej wahanie i posłała

uśmiech. Nie była taka szara i nijaka, jak wydawało się Justynie

na pierwszy rzut oka.

– Justyna Dubiecka.

Wyszły już razem. Justyna z niepokojem szukała wzrokiem

brata. Był! Na twarzy malował mu się wyraz cierpienia.

– Przepraszam – rzuciła tylko nowej znajomej i podeszła do

niego.

– Musisz gdzieś usiąść, kochany. – Podprowadziła go do niskiego

parapetu wielkiego okna. Przysiadł na nim z ulgą. Widać

było, że dręczyła go gorączka. Siedział też nienaturalnie wyprostowany

z twarzą wykrzywioną bólem.

– Julek! – zawołała Ojrzanowska, która już zdążyła ocenić

sytuację. – Jesteś potrzebny.

Podszedł do nich ten sam młody człowiek o kanciastej twarzy,

na którego przed chwilą rzucała się w poczekalni rozczochrana

wariatka.

– Co pana boli? – spytał.

– Mam poranione plecy i chyba z tego powodu gorączkę.

– Pan pozwoli, że obejrzę, jestem lekarzem. Może trzeba

zdezynfekować, zmienić opatrunek?

– Nie sądzę. Przed wyjazdem opatrzył mnie kolega, dobry lekarz.

Za jakiś czas jednak będę wdzięczny za pomoc.

– Służę panu. A teraz może przynajmniej podam środek przeciwbólowy?

Kanciasty pogrzebał w wielkiej lekarskiej torbie i wyjął jakieś

krople.

– Trochę opium nie zaszkodzi. – Odmierzył dawkę i dodał:

– Powinienem się przedstawić. Julian Janicki.

– Marian Dubiecki

Dworcowy dzwon obwieścił, że pociąg zaraz ruszy. Nakazano

wsiadać. Bagażowi kończyli upychać liczne walizy i kufry w wagonie

towarowym. Ojrzanowscy, Dubieccy i Janicki rozlokowali

się na sąsiednich ławkach w niepodzielonym na przedziały wagonie

trzeciej klasy. Ohydny zapaszek więziennej celi, który na peronie

już zdawał się być niewyczuwalny, znowu dał o sobie znać.

Justyna marzyła, by móc się umyć i zmienić odzież. Na razie to

było niemożliwe.

Twarde drewniane siedzenia zapowiadały nużącą, niewygodną

podróż. Otoczenie przesiąknięte było kolejowym zapachem

kurzu i dziegciu. Justyna rozlokowała podręczny bagaż tak, by

zostawić sporo miejsca dla walizek Ojrzanowskich i Janickiego.

Wyjrzała przez okno. Peron pustoszał. Zostali na nim tylko żandarmi,

których misja konwojowania zesłańców właśnie się kończyła.

Przejmą ją inni.